

ARTYKUŁY RECENZYJNE



Krzysztof Gawlikowski

POLSKA HISTORIA WOJNY WIETNAMSKIEJ

Piotr Ostaszewski, *Wietnam – Najdłuższy konflikt powojennego świata, 1945–1975*, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2000, ss. 644.

Książka Piotra Ostaszewskiego zasługuje na szczególną uwagę z wielu względów. Przede wszystkim jest to jedna z nielicznych nowych, polskich prac naukowych poświęconych problemom najnowszej historii Azji Południowo-Wschodniej. Jest to przy tym praca poważna i oryginalna, oparta na bardzo szerokim materiale źródłowym, a autor – rewidując dawniejsze zideologizowane ujęcia tej wojny – starał się zachować obiektywizm. Trzeba też przypomnieć, że wojna wietnamska była najważniejszym i najdłuższym konfliktem militarno-politycznym epoki zimnej wojny, a wywarł on ogromny wpływ nie tylko na cały region, ale też na procesy polityczne w skali światowej. W jego cieniu na Zachodzie wyrosły dwa pokolenia, z których młodsze – dawnych bojowników przeciwko „imperialistycznej agresji w Wietnamie” – wciąż jest obecne w życiu politycznym.

We *Wstępie* autor przedstawia ważniejsze zbiory archiwalne, głównie dokumentów opublikowanych (choć sięgał też sam do archiwów amerykańskich), jak też szczegółową historiografię problemu, która jest dobrym przewodnikiem po literaturze. Po krótkim zarysie historii państw indochińskich, autor przechodzi do analizy kolejnych etapów konfliktu wietnamskiego, poczynając od powojennych prób odzyskania niepodległości przez ten kraj, aż do ostatecznego zwycięstwa w 1975 r. i zjednoczenia Wietnamu. Pracę dopełniają aneksy: akt założycielski Ligi Vietminhu z 1941 r., *Deklaracja niepodległości Wietnamu* z 1945 r., postanowienia kolejnych konferencji pokojowych w sprawie Wietnamu, najważniejsze deklaracje prezydentów USA w tej kwestii (s. 585–600), noty biograficzne o najważniejszych postaciach tego konfliktu (s. 601–607), chronologia wydarzeń (od 1859 r., początków francuskiego podboju Kochinchiny). Kończy książkę dość obszerna bibliografia (włączająca z badaczy polskich jedynie W. Góralskiego i W. Olszewskiego, inne – dla

tego tematu mniej istotne, ale dla autora pewnie użyteczne zostały pominięte, jak też polskie wydanie prac Vo Nguyen Giapa, czego już trudno zrozumieć). Indeksu brak, co jest brakiem dość dotkliwym w tego typu pracy historycznej.

Poszczególne wydarzenia autor przedstawia wnikliwie i ze znajomością rzeczy. Ukazuje on ten konflikt wszechstronnie: jego aspekty ściśle militarne, wysiłki dyplomatyczne związane z nim bezpośrednio, rysuje też jego szersze tło stosunków międzynarodowych i relacji między wielkimi mocarstwami, jak też procesów społecznych w samym Wietnamie. Ukazuje znaczenie czynnika narodowego w tej wojnie: walki narodu wietnamskiego o wyzwolenie z kolonialnego i półkolonialnego ucisku, a później i o zjednoczenie kraju. Daje też dość precyzyjne charakterystyki sytuacji wewnętrznej w podzielonym Wietnamie, wskazując na rozmaite słabości reżimu południowo-wietnamskiego. Jest to zatem próba bardzo ambitna i w zasadzie można by ją uznać za bardzo udaną, gdyby nie drobne w istocie mankamenty, które jednak psują to pozytywne wrażenie.

Zacząć trzeba od pisowni imion własnych. Na końcu *Wstępu* autor deklaruje, że w książce stosuje „amerykańską transkrypcję imion i nazw wietnamskich” (s. 24). Problem w tym, że wietnamskich imion własnych nie trzeba transkrybować, gdyż język ten używa liter łacińskich. Autor, podobnie jak większość innych badaczy publikujących na Zachodzie, pomija w istocie jedynie specyficzne znaki diakrytyczne (używane dla oznaczenia tonów i szczególnej wymowy samogłosek oraz dwu wartości fonetycznych litery „d”). Czyżby autor, poświęciwszy kilkanaście lat życia Wietnamowi, nie wiedział jakiego pisma tam się używa? Gdy nie ma transkrypcji, nie może też być jej „wersji amerykańskiej” (już samo to sformułowanie wprawia w popłoch, bo w świecie anglosaskim transkrypcje języków orientalnych określa się od nazwisk ich twórców, typu „transkrypcja McCune-Reischauera” dla pisma koreańskiego, Wide-Gilesa dla chińskiego itp.). Dlaczego brakuje tu choćby kilku zdań na temat przyjętego systemu zapisu oraz reguł jego czytania (typu *tr* czytaj jak polskie „cz”) – pojąć trudno. Nie wspomina się, że przyjęta to transkrypcja pomija zróżnicowanie litery „d” (z kreską poziomą – czyta się jak nasze „d”, bez niej – w przybliżeniu jak „z”). W biogramach jedynie przy postaci Duong Van Minha autor dodaje. „czyt. Dzung Van Miń” (s. 602). Można by dyskutować, czy nie lepiej było tu podać wersji Zung, ale problem polega na tym, że takich wskazówek nie ma przy żadnej innej postaci. Czy autor nie mógł po prostu skonsultować tego ze specjalistą? A przecież mamy takich na UW.

W sprawie chińskich imion własnych autor pisze, że posługuje się „obowiązującymi normami nowej transkrypcji” i podaje przykłady „starej” i „nowej”: Mao Tse-tung – Mao Ze-dong, Zhou En-lai – Czou En-lai, Jiang Jie-shi – Chiang Kai-shek, w tym ostatnim przypadku pozostawia „zapis tradycyjny” (s. 24). Dwa zdania a cała masa błędów. Przyjęta przez ONZ i powszechnie teraz stosowana transkrypcja ma swoją nazwę: *pinyin*. W ChRL wypracowano ją jeszcze w latach 50. XX w., a ONZ zaleciła jej stosowanie w połowie lat 70. W tym stanie rzeczy nazywanie

jej „nową” trąci brakiem wiedzy. W transkrypcji tej nie stosuje się wszakże dywizu między sylabami (w tym także w imionach), zatem ów „nowy zapis” jest jeszcze podawany błędnie. Ale i w „starych formach” są pewne błędy: imię premiera Chin pisano jako En-laj, a przywódcę Tajwanu jako Czang Kai-szek (wersja rzekomo „stara” podana przez autora jest formą transkrypcji stosowaną na Tajwanie i w USA). Gdy znający sprawy azjatyckie czytelnik wpada na takie „miny”, zwykle wyciąga wniosek, że jest to kolejna praca dyletanta, nie znającego rzeczy elementarnych. Nie jest to w tym przypadku zasadne, ale wrażenie daje to fatalne.

Prawdziwą plagą nowych publikacji o Azji Wschodniej są skrótowe „zarysy historyczne” dawane na początku, rzekomo – by oświecić nieco nie znającego tych spraw czytelnika. Problem polega na tym, że opisanie w kilku, czy kilkunastu zdaniach tysiąca lat, albo i dłużej, dziejów odległego kraju i mało znanych spraw – jest niezmiernie trudne, a przy słabej znajomości historii regionu przez samego autora prowadzi nieraz do opisu typu „humor z zeszytów szkolnych” (starsze osoby pamiętają pewnie tę zabawną rubrykę z „Przekroju”). Niestety, jest to także udziałem tej pracy. Zatem specjalistom gorąco doradzam, by zaczynali lekturę tej książki od rozdziału II, i to najlepiej po opuszczeniu jeszcze trzech stron nader powierzchownego początku. Inaczej narazić się mogą łącznie na zawał.

Cóż tam bowiem znajdujemy? Nienajszczęśliwsze jest już samo określanie kolejnych państw na terytorium dzisiejszej Kambodży mianem „sukcesorów” (bo czego by ta sukcesja miała dotyczyć?). Nie jest nawet pewne, czy najstarsze z nich były państwami Khmerów. Czy Piastowie rezydujący na Wawelu byli „sukcesorami” żyjących tam dawniej ludów celtyckich? Teza, iż imperium Ankoru „panowało praktycznie nad całym Półwyspem Indochińskim” (s. 26) budzi grozę: czyżby autor nie widział nigdy mapy regionu? Mianem Półwyspu Indochińskiego określa się zwykle całą niemal lądową część Azji Południowo-Wschodniej, od Birmy aż do Wietnamu, nawet jeśli przyjąć by jednak węższe znaczenie – ograniczone do części wschodniej, to i tak byłoby to niesłuszne.

Pokrętnie zdanie, że imperium to zetknęło się (przed wiekiem XV) ze „spływającymi z północy i napierającymi na państwo Czamów plemionami Vietów i Tajów” – to jakaś karykatura historii. Istotnie w tym okresie migrowały na południe ludy tajskie, ale przede wszystkim szlakami leżącymi dużo bardziej na zachód. Napierały więc istotnie na imperium Ankoru, ale już nie na Czampę. Ta ostatnia od paruset lat toczyła wojny z Wietnamem (leżącym wówczas w dolnej części basenu Rzeki Czerwonej, podczas gdy księstwa czamskie, okresowo mniej czy bardziej zjednoczone, zajmowały wybrzeże dzisiejszego Wietnamu środkowego i północną część południowego). Wietnam od X w. był w istocie suwerennym, dość dobrze zorganizowanym państwem, na pewno wyżej niż Czampa, skąd zatem u autora „najazdy plemion”? Czy ktokolwiek w Polsce zgodziłby się ze stwierdzeniem, że państwo Piastów odpierało napór „plemion germańskich”? W piśmiennictwie o Azji zapanowała jakaś epidemia pisania o ludach jako „plemionach”, bez zda-

wania sobie sprawy, iż „plemię” to bardzo specyficzna forma organizacji społecznej, w istocie przedpaństwowa, łącząca kilka rodów egzogamicznych. Określenie Wietnamczyków z epoki średniowiecza jako „plemiona Vietów” jest jaskrawym nieporozumieniem. Wobec Tajów to też niesłuszne, gdyż w południowych Chinach tworzyli oni już od starożytności rozmaite twory polityczne typu państwowego, bądź wchodzili w skład państw wieloetnicznych (jak sławne Chu).

Podobnie niefrasobliwie pisze autor o Wietnamie (s. 27). Najpierw autor stwierdza, że „Wietnam jest państwem wywodzącym swe korzenie kulturowe z Chin”, potem zaraz przechodzi do sino-wietnamskiego królestwa Nam Viet (207 r. p.n.e. – 111 n.e.). Teza o owych „korzeniach kulturowych” jest nader wątpliwa. Trzymając się nieprecyzyjnej metafory „korzeni” można by jedynie stwierdzić, że korzenie i pień były wietnamskie, a jedynie koronę przycinano na chiński, czy nawet wszczepiano w niej całe chińskie gałęzie. Sprawa Nam Vietu i jego zasięgu terytorialnego – także jest skomplikowana. Tysiącletnia inkorporacja Wietnamu północnego do Chin (zakończona w 939 r., a nie 1939, co jest oczywistą literówką), inaczej niż sądzi autor, nie doprowadziła do głębokiej sinizacji kraju, ani do przyjęcia konfucjańskich wartości społecznych i politycznych. Przyjmowanie konfucjanizmu było procesem powolnym, a dokonywało się stopniowo. Kluczowy etap nastąpił dopiero tuż przed utratą niepodległości przez Wietnam, w końcu XVIII i w początkach XIX w., kiedy to wprowadzono konfucjański system prawny i upowszechniano wiele elementów tej ideologii. Badacza dziejów i kultury Wietnamu wręcz poraża jak dużą odrębność kraj ten zachowywał mimo okresu wspomnianej inkorporacji do Chin i bliskich stosunków z cesarstwem. Przeciwwstawienie tradycji chińskich i wietnamskich we wczesnym okresie (przypis 6, s. 27), stanowi również ogromne uproszczenie, gdyż wietnamski etnos i kultura dopiero się formowały. Ekspozowanie przede wszystkim negatywnych konsekwencji przyjęcia konfucjanizmu, jako prowadzącego do skostnienia, też nie jest uprawnione. Aż do rewolucji francuskiej i amerykańskiej system polityczny oparty na konfucjanizmie pozostawał najgłębiej demokratycznym, ze swym systemem służby cywilnej i otwartą drogą do awansów i urzędów również dla ludu. Dlatego tak fascynował on Woltera i encyklopedystów. Wiele ideologii pod koniec popada w skostnienie. Przyjmowanie konfucjanizmu w Wietnamie w okresie wcześniejszym – niosło ogromny postęp. Dopiero reformy Gia Longa z początków XIX w., i forsowana przezeń konfucjanizacja kraju – oddalały Wietnam od szybko rozwijającego się świata. Bez uświadomienia sobie siły wietnamskiej tożsamości kulturowej i nader ambiwalentnego stosunku do Chin oraz kultury chińskiej trudno zrozumieć późniejsze dążenia niepodległościowe.

Teza, iż obowiązującą do dziś nazwą całego Wietnamu Południowego jest „Kochinchina” (s. 28) – budzi zdumienie. Była to nazwa francuskiej kolonii, a współcześnie oczywiście unika się jej (trochę jak w Polsce nazwy „Generalnego Gubernatorstwa”). Opis statusu trzech części podzielonego Wietnamu w okresie kolonialnym

jest zadziwiająco nieprecyzyjny. Cóż bowiem znaczą stwierdzenia: „Nominalnie nadal władza spoczywała w ręku rezydującego w Hue cesarza. Faktycznie jednak Kochinchina stała się częścią Francji, podczas gdy zarówno Annam, jak i Tonkin (...) tworzyły francuskie protektoraty, z mianowanymi z metropolii rezydentami” (s. 30). Od historyka zajmującego się sprawami politycznymi można by oczekiwać znacznie większej ścisłości. Sięgnąwszy choćby do *Historii Wietnamu* W. Olszewskiego autor dowiedziałby się, że południowe prowincje zostały przekazane Francji w drodze wymuszonej siłą cesji, ale była to – rzecz jasna – kolonia pod zarządem francuskim, podczas gdy Tonkin miał status zbliżony do posiadłości zamorskich i wyższe stanowiska administracyjne sprawowali tu rezydenci z Francji, a jedynie Annam był protektoratem, z administracją wietnamską, pod zwierzchnictwem cesarza wietnamskiego, a jedynie pod nadzorem francuskim (s. 226, 244). Ta sprawa ma już – rzecz jasna – bezpośredni związek z głównym tematem pracy i bez wyjaśnienia dobrze sprawy kolonialnego podziału Wietnamu trudno zrozumieć, dlaczego zjednoczenie państwa wywoływało takie silne emocje po II wojnie światowej i stało się hasłem politycznie tak kluczowym w okresie analizowanej tu wojny wietnamskiej.

Informacja, iż występował „przybierający na sile głód ziemi – aż 92% ludzi posiadało gospodarstwa od 1,6 do 3,6 ha” (s. 31), jest co najmniej myląca. Kluczową kwestią była jakość i własność tej ziemi. Własne zalewane pola ryżowe tej wielkości zapewniałyby bowiem utrzymanie rodzinie (bo o rodziny, a nie „ludzi” tu chodzi). Problem w tym, że duża ich część była jedynie dzierżawcami tej ziemi i połowę plonów, albo nawet więcej, musiała oddawać właścicielowi. A do tego dochodziły spłaty lichwiarskich długów, podatki i inne ciężary. Owe 92% dotyczyło też zapewne jedynie rolników. Rozmiary gospodarstw chłopskich w Azji są bowiem zupełnie inne niż w Europie. Jest to kolejny przykład słabego rozeznania w realiach wietnamskich.

Autor określa dramatyczne próby zbrojnego przejmowania władzy przez KPCh i fizycznej likwidacji „komunistów” (bo o różnych lewicowców tu chodziło) przez Guomindang (Kuomintang) w 1927 r., jako „konflikt między Chiang Kai-shekiem a komunistyczną frakcją Kuomintangu” (s. 39). Wskazuje to na bardzo słabą znajomość najnowszej historii Chin (choć o nich też autor pisywał!). A dzieje Wietnamu były z tym krajem bardzo blisko powiązane. Wspomnijmy, że te związki nie w pełni zostały w tej pracy ukazane (np. przy opisie programu wietnamskiej partii narodowej, (s. 35), nie dodaje się, że wzorowano go na programie Guomindangu).

W pracy historycznej dziwi nieco zarzut, że w Demokratycznej Republice Wietnamu, stworzonej przez Ho Chi Minha w 1954 r. (znowu przykra literówka, chodzi o 1945 r.) „nie było miejsca ani na zdobycze nowoczesnej demokracji, ani tym bardziej na prawa człowieka” (s. 37). Publicyści mogą oskarżać o to komunistów w każdym miejscu i czasie. Ich prawo. Historyk nie powinien jednak wdawać się w takie ahistoryczne oceny. DRW tworzono nie w Szwajcarii, odbierając wolności

i demokrację, ale w kolonialnym Wietnamie, gdzie po raz pierwszy wprowadzano właśnie rudymenty praw obywatelskich i procedur demokratycznych. Viet Minh, co podane jest w aneksie (s. 586), zadeklarował też przyjęcie koncepcji praw obywatelskich, co było wydarzeniem epokowym dla wietnamskiej myśli politycznej. Trzeba pamiętać, że prawa człowieka w epoce kolonialnej i w okresie zimnej wojny nagminnie i systemowo gwałciły mocarstwa zachodnie, a dopiero w latach 70. USA zaczęły lansować hasła ich respektowania. Czy można mieć zatem pretensje do Ho, że nie zapewnił od razu Wietnamczykom po II wojnie światowej standardów życiowych i demokratycznych wysoko rozwiniętych krajów Zachodu z lat 70. ubiegłego wieku? Przypomnieć można, że w Wietnamie to komuniści walczyli o przeprowadzenie demokratycznych wyborów w całym kraju i pokojowe zjednoczenie go, a Francja i USA bojkotowały to, gdyż zwycięstwo komunistów było w nich oczywiste. Rząd Wietnamu południowego, wspierany przez Zachód, jak sam autor pisze, wcale nie zasłynął ani demokratycznymi swobodami, ani troską o prawa człowieka. Po cóż więc przenosić europejskie schematy ideologiczne na historyczne analizy wydarzeń w Azji Wschodniej?

Rozdział II zatytułowany jest: *Droga do I wojny indochińskiej (1895 – listopad 1946)*. Problem w tym, że okresowi do lat 30. XX w. poświęcono tam ledwo parę wierszy, a po dalszych dwu stronach wkraczamy w lata 40. Tytuł jaskrawo różni się z treścią. A ponadto informacje o okresie wcześniejszym są powierzchowne, mętne i niewolne od elementarnych błędów. Jak można pisać, że „niebawem Japonia zdobyła ostatni chiński bastion – stolicę Republiki Chińskiej, Nankin” (s. 43). Po pierwsze, nie był to „bastion” do zdobywania, lecz miejsce największej japońskiej masakry ludności cywilnej; zacięcie broniono Szanghaju, a po jego upadku wojska chińskie wycofywały się. Po drugie, wcale nie „ostatni”, bo po ewakuacji rządu z Nankinu, stolicę przeniesiono do Chunqingu w Sichuanie, gdzie przetrwała ona do końca wojny, na terenach nigdy przez Japonię nie zdobytych. Dlatego Czang Kai-szek mógł pełnić rolę ważnego alianta USA.

Nie każdemu historykowi sądzona jest ranga Samsonowicza, czy Tazbira, ale od dbałości, o to, co się pisze, nie jest zwolniony żaden. Nawet jeśli są to kwestie „uboczne”. Jeśli pisze się już o czymś, to trzeba to robić precyzyjnie i kompetentnie. A żal jest tym większy, że jest to – poza takimi elementami – książka bardzo dobra, świetnie napisana, oparta na bardzo obfitym materiale źródłowym, zaś autor starał się pracować nad nią solidnie.